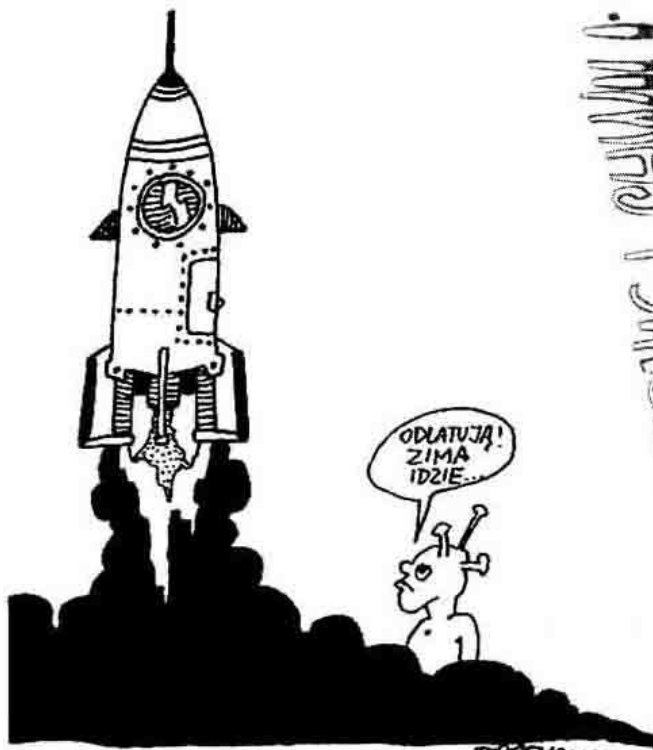


WRACAMY DO NORMY...

Po wakacyjno-euroconowskich zawirowaniach – znów mamy numer pojedynczy i znów w miarę punktualnie...

Milej lektury „stotrzydziestkiósemki” (też zresztą częściowo nawiązującej jeszcze do Euroconu)!

JPP



Z OSTATNIEJ CHWILI:
SYLWESTER NORDCONOWSKI
ZA 60 DNI !!

WRZEŚNIOWE POSIEDZENIE ZARZĄDU GKF

Odbyło się w dniu 09.09.2000 roku. Ważniejsze z poruszanych spraw:

I. SPRAWY ORGANIZACYJNE

Sprawa organizacji 14 Konwentu Polskich Klubów Fantastyki NORDCON 2000

W wyniku dłuższej dyskusji przeprowadzono głosowanie: 9 głosów było za przeprowadzeniem Nordconu, 1 osoba wstrzymała się.

Zarząd mianował koordynatorem Piotra Mazurowskiego, który przedstawił założenia, koszty i wstępną listę grupy operacyjnej.

II. SPRAWY PERSONALNE

1. Zmiany funkcyjne

Zarząd mianował Marcina Zajdla rzecznikiem prasowym GKF.

Zarząd mianował Sławomira Zarembę zastępcą szefa Działu Filmowego.

2. Mianowanie członków rzeczywistych

Zarząd GKF nadał członkostwo rzeczywiste Maciejowi Bulandzie (KF „Brethren”).

3. Zakończenie stażu kandydackiego

Staż kandydacki zakończyli i zostali członkami zwyczajnymi:

KF „Angmar” Piotr Zgirski

KF „Brethren” Piotr Okrój

4. Urlopy organizacyjne

Marcin Borowski (KF „Brethren”) otrzymał urlop na okres III i IV kwartał 2000 roku.

III. SPRAWY FINANSOWE

1. Skarbnik GKF przedstawił wstępne rozliczenie finansowe Euroconu.

2. Skarbnik GKF omówił składkopłatność w II i III kwartale 2000 r.

3. Prezes GKF podał stan subkont KL-ów i KS-ów.

IV. IMPREZY

1. W dniach 22-24.09.2000 KF „Angmar” i KF „Brethren” przeprowadzają 8 Gdańskie Dni Fantastyki VOYAGER 2000.

2. W dniu 1 października odbędzie się turniej M:tG PRERELEASE INVASION.

ODSZEDŁ STARY BEN ...

7 sierpnia podano informację o śmierci, w wieku 86 lat, legendarnego aktora Aleca Guinnessa. Karierę rozpoczął w wieku 20 lat, grając początkowo w teatrze role szekspirowskie. Otrzymał dwa Oscary: w 1957 r. za rolę w filmie „Most na rzece Kwai” i w 1980 r. za całokształt twórczości. Stworzył rewelacyjne kreacje w klasycznych komediach kryminalnych, jednak w pamięci miłośników fantastyki pozostanie jako odtwórca roli Obi-Wana Kenobiego w „Gwiezdnym wojnach”.

URODZINY

Kochaliśmy kiedyś dziewczynę urodzoną w listopadzie... Możemy więc z całą odpowiedzialnością stwierdzić, że listopadowe dzieci to najlepsi ludzie w Metagalaktyce. Nieba byśmy Wam uchylili, ale - jak na razie - obiecujemy tylko w imieniu Zarządu GKF i Komitetu Organizacyjnego, że na tegorocznym Nordconie macie zabukowane najcieplejsze pokoje.

Redakcja „Informatora GKF”

- 1 Krzysztof Kielichowski
- 5 Marcin Grygiel
- 7 Dariusz Przewoski
- 8 Piotr Mazurowski
- 11 Monika Jeżewska
- 12 Michał Józwiak
Joanna Piszczek
- 13 Agata Ośrodek
- 14 Konrad Firyn
- 16 Sławomir Ginter
- 17 Dariusz Juszczewski
Radosław Murawski
Łukasz Węłowski
- 23 Maciej Gostomski
- 28 Małgorzata Stankiewicz-Szymańska
- 29 Andrzej Sawicki
Marcin Thomas
- 30 Konrad Wawruch



IMLADRIS

List informacyjny nr 2

Co: IV Krakowski Weekend z Fantastyką IMLADRIS

Kiedy: 27 - 29 października 2000 r. (piątek godz. 17.00 - niedziela godz. 17.00)

Gdzie: Kraków, ul. Miodowa 26 - budynek Profesjonalnej Szkoły Biznesu
(Mapką okolic konwentu znaleźć można na naszej stronie internetowej.)

Organizator: Galicyjska Gildia Fanów Fantastyki

Koszt pełnego uczestnictwa (z możliwością noclegu w zbiorowej sali - pamiętajcie o śpiworze i karimacie!) wynosi tylko: 24,99 zł. (członkowie GGFF oraz KKMFDżabersmok płacą: 12,99 zł.). Będzie także możliwość zakupu wejściówek jednodniowych. Osoby zainteresowane noclegami w hotelu / schronisku proszone są o kontakt: email puszon@rpg.pl

Imladris to impreza towarzysząca IV Targów Książki w Krakowie.

Informacje:

- Strona internetowa <http://imladris.prv.pl> (event. <http://konwenty.fandom.art.pl/imladris>)

- email: puszon@rpg.pl

- tel.: (0604) 559-272 (Michał Stachyra), (012) 412-47-43 (Rafał Olszowski)

Sponsorzy generalni: firma R.A.R. oraz Profesjonalna Szkoła Biznesu.

Sponsorzy: Dom Wydawniczy REBIS, Oficyna Wydawnicza 3.49, Świat Gier

Komputerowych, Wydawnictwo Mag, Wydawnictwo Portal, Wydawnictwo Prószyński i S-ka, Wydawnictwo SuperNOWA

Patronat medialny: Magazyn Fantastyczny [www.sf.magazyn.pl], Magazyn internetowy

Inkluz [www.inkluz.alpha.pl], Serwis www.gildia.pl

Serdecznie zapraszamy na nasz konwent miłośników wszelkich form fantastyki - zarówno graczy jak i czytaczy. każdy znajdzie tu coś dla siebie. Na stronie internetowej znajdziecie część punktów programu jakie zaistnieją na IMLADRIS 2000. To nie wszystkie atrakcje jakie dla Was przygotowaliśmy - kolejne poznacie już wkrótce. Na pewno odbędą się na Imladris (oprócz wymienionych poniżej) prelekcje Anny Brzezińskiej, Mirosława P. Jabłońskiego, Romualda Pawlaka, Piotra Witolda Lecha i Tadeusza Olszańskiego.

Klub Manekineko, Uniwersytet Szczeciński, Centrum Kultury Japońskiej,
KMF "Drakkar", ELF S.C.

Zapraszają na konwent, jakiego jeszcze nie było:

Szczecińskie spotkania z kulturą japońską i fantastyką

ŚWIATY

10 - 12 listopada 2000

W programie części mangowej:

- projekcje hiciorów - m.in. Escaflowne the movie, Spriggan (pl), Pokemon movie (pl)
- anime non stop przez trzy dni - nowości na telebimie na dużej sali oraz repertuar wedle życzeń z bogatych zasobów w Kłazyk-Rumie. Wśród atrakcji: Shin-chan the movie, Adventures of Mini Goddess, Photon, Battle Athletes, Kamikaze Kaitou Jeanne, Candidates for Goddess, Saber Marionette j to x i wiele innych.
- konkursy i panele jedyne w swoim rodzaju:
 - prelekcja p. Shinichi Hirao
 - konkurs - pokoloruj swoją mangę
 - konkurs - ulep swoją ulubioną postać
 - konkurs muzyczny o zrewolucjonizowanych zasadach (czy zdołasz rozpoznać 'Zangoku' puszczane od tyłu?...)
 - panele tematyczne - m.in. cała prawda o Slayersach oraz odpowiedź na pytanie, czy Hitomi Kanzaki jest nimfomanką
 - konkurs konsolowy i growy - prawdziwe automaty!
 - pokazy sztuk walki (Kendo, Aikido)
 - stoiska najprężniejszych firm zajmujących się M/A
 - konkurs Kara-Okay
 - niespodzianki od Manekineko i Mangaya, czyli gros innych atrakcji, o których dowiecie się już wkrótce!

W części fantastycznej m.in.:

- Fantastyczni goście:
 - Andrzej Sapkowski
 - Rafał A. Ziemkiewicz
 - Jacek Dukaj
- projekcje filmowe „Z historii fantastyki”
- projekcja nagrodzonego na konkursie amatorskich filmów sf/f/h pastiszu „Matrixa” pt. "Szmatryks"
- tolkienistyka - prelekcje i konkursy
- spotkania z polskimi wydawcami i redakcjami pism branżowych
- turnieje gier figurkowych, karcianych i komputerowych
- prelekcje pracowników Uniwersytetu Szczecińskiego na temat literatury fantastycznej
- sesje rpg i larp do bólu
- i mnóstwo innych zapierających dech atrakcji!

Nocleg na terenie konwentu, udogodnienia dla grup zorganizowanych.

Pamiętajcie! Tylko u nas trzy dni mangowej orgii!!!

Kolejnych raportów i szczegółowych informacji oczekujcie na www.manekineko.art.pl,
<http://www.gldia.pl> oraz listach dyskusyjnych.

DRACOOOL 2001

Co: konwent Dracool

Termin: 1-4 maja 2001

Miejsce: Gliwice, ul. Konarskiego 18

Koszt: akredytacja 35 złotych

Wpłaty na konto: Wydawnictwo PORTAL s.c.; BPH s.a. oddział Gliwice; 10601187-320000538782. Ze względu na ograniczoną liczbę miejsc zachęamy do wpłat już teraz. Może się okazać, że na początku maja nie będzie już wolnych miejsc.

Atrakcje, czyli pierwsza zajawka: To będzie prawdziwie niezwykła impreza. To jedyny tej wielkości konwent w Polsce poświęcony grom, grom i tylko grom. Stworzony przez ludzi, którzy na codzień wydają Portal. Stworzony specjalnie dla graczy. Co to oznacza?

➤ na Dracoolu odbędą się uroczyste premiery! Polskie wydanie gry "Zamek Falkenstein" ujrzy światło dzienne po raz pierwszy właśnie na Dracoolu oraz dodatek do gry Legenda Pięciu Kręgów "Droga Żurawia"!

➤ 10 bloków tematycznych, dokładnie tak jak w Portalu: CP2020, Dzikie Pola, Szermierz, Zew Cthulhu, Warhammer, Legenda Pięciu Kręgów, Deadlands, Zamek Falkenstein, Gry bitewne oraz Almanach

➤ w ramach każdego bloku minimum jeden LARP, jeden mega konkurs wiedzy oraz kilka do kilkunastu paneli.

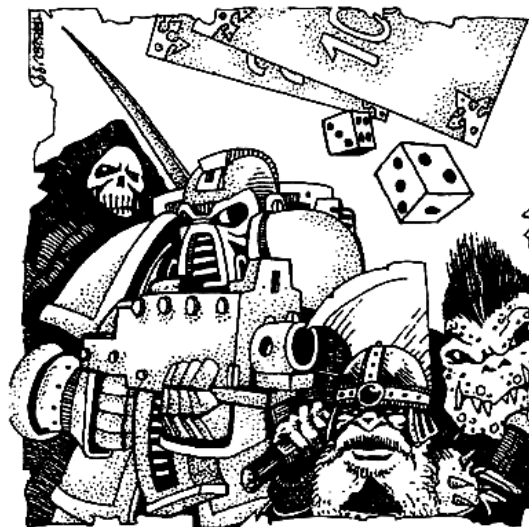
➤ za poszczególne bloki są odpowiedzialni ludzie, których znacie i cenicie; Michał Mochocki, Marek Noga, Joe Abrakadabra, Marcin Chałubiec, Tomasz Kowalik, Krzysiek Majewski i inni. To oni przygotowują dla Was atrakcje – czy może zatem być nudno?!

➤ Dracool to jedyne miejsce, gdzie będziesz mógł spotkać WSZYSTKICH najpopularniejszych autorów znanych z naszych lam. Dracool to Portal na żywo, spotkasz tu więc: Maćka Szaleńca, Remova, Michała Oracza, Bogusia Dawca, Tomka Majkowskiego... naprawdę, będą wszyscy.

➤ turnieje i konkursy będą trwały nieprzerwanie. Zarówno w grach bitewnych, karcianych jak i RPG.

➤ mecz piłkarski: Portal kontra dowolna drużyna - będziemy na boisku 2 godziny - zapraszamy wszystkich, którzy zechcą się z nami zmierzyć.

Na tych, którzy nas pokonają czekają nagrody! - dla osób, które wpłacą już teraz otrzymają zapewnione miejsca w LARPACH i pewnych, wyjątkowych, okrytych na razie tajemnicą wydarzeniach. Wpłać akredytację i bądź pewien, że w Gliwicach będziesz się dobrze bawił! Więcej szczegółowych informacji znajdziesz na stronie internetowej magazynu Portal (www.rpg-portal.pl) - tam będzie publikowany comiesięczny raport, z którego dowiecie się o postępie prac nad konwentem i nowymi niespodziankami.



NIUSY

PIERWSZY „ASTROTURYSTA”!

Dennis Tito, 59-letni milioner z Kalifornii, przygotowuje się do wycieczkowego lotu na rosyjską stację Mir.

Start przewidziany jest na wiosnę przyszłego roku; trwająca ok. 7-10 dni „wycieczka” kosztować będzie [bagatela!] jakieś 20 mln dolarów.

jpp

WOKÓŁ FILMOWEGO „WIEDŹMINA”...

...zaczyna być coraz głośniejszy! Pierwsza wrześniowa „Polityka” zamieściła obszerny artykuł Marka Oramusa o ekranizacji Sapkowej sagi; kilka dni później „Teleexpress” nadał migawkę z pierwszego dnia zdjęciowego.

Mi na tym tle nasuwa się kilka refleksji...

Po pierwsze – trudno liczyć na to, by filmowa adaptacja jakiegokolwiek powieści oddała w pełni klimat i treści zawarte w pierwowzorze (np. czytelnicy „Parku Jurajskiego” mogliby obrazić się na Spielberga za jego sprawny, lecz trywialny filmik).

Po drugie – skala rzemiosła Michała Żebrowskiego wydaje się być na tyle rozległa (porównajmy jego Skrzetuskiego z jego Tadeuszem!), że na „wiedźminową” kreację tego aktora czekam bardziej z ciekawością niż z niepokojem.

Po trzecie – rozwiązaniem idealnym byłaby najpierw realizacja wysokobudżetowego **serialu telewizyjnego** (taśma filmowa 35 mm, pełne dekoracje, porządne efekty specjalne) wg samych **opowiadań**, a potem nakręcenie **filmu kinowego** (np. trzyczęściowego) w oparciu wyłącznie o **powieści**; ale tak pomyślana superprodukcja byłaby kosztownym wyzwaniem nawet dla kinematografii USA!

Tak więc najprawdopodobniej czeka nas „skomasowany” pojedynczy film oraz jego telewizyjna wersja w odcinkach. Trudno...

Oby tylko ekipa filmowa nie powtórzyła „sukcesu” twórców pewnego – niesławnej pamięci – komiksu!

jpp

„MUCHA” WYSIADA!

Tegoroczny festiwal filmowy w Wenecji zdominowały kinematografie Europy i Azji – oraz... obrzydliwość i makabra.

Parę razy musiano nawet przerywać projekcję, gdyż widzom robiło się słabo...

jpp

SADYBA 3D

Kilka numerów temu pisałem w *niusach* o planach budowy w Warszawie pierwszego w Polsce trójwymiarowego kina systemu „Imax”.

Ono już otworzyło swe podwoje!

Niestety, dobre bogi nie rzucą mnie na razie do stolicy, więc IMAWSTĘPNIKA raczej nie spreparuję... Może ktoś z Was zaliczył już to „cudo” – i zechce podzielić się wrażeniami?

jpp

KLUB TFURCUF W KRAINIE CHICHÓW

11. Krajowe Targi Książki odbyły się w dniach 14-19 września w warszawskim PKiN.

Swe książki podpisywał m.in. Jonathan Carroll; można było też otrzymać autografy Ziemkiewicza, Szrejtera, Kołodziejczaka i Piekary – na ich antologii „Robimy rewolucję”.

jpp

ZA ROK – „WIEDŹMIN”, „QUO VADIS”, „PRZEDWIOŚNIE”...

Z przedostatnim tygodniem września zakończył się w Gdyni jubileuszowy (czwórcsetny) Festiwal Polskich Filmów Fabularnych.

Dużo o nim mówiono i pisano; a ponieważ nie mam już możliwości bywania na nim – darujemy sobie obszerniejszą relację...

Nadmienię tylko, że najnowszy film Kolskiego, wspomniany wcześniej w *niusach*, otrzymał ostatecznie tytuł „Daleko od okna” (a nie „Ta z Hamburga”). Zdarzają się takie zmiany: kto pamięta, że „Przepraszam, czy tu biją” nosił roboczy tytuł „Traktat o mokrej robocie”, „Vabank” – „Kwinto”, zaś świątynia z drugiej części przygód Indiany Jonesa miała być „Świątynią Zagłady”, nie „Przeznaczenia”?

jpp

ALTERNATYWA DLA DRESIARZY

Paleontolog-amator, tegoroczny absolwent Technikum Geologicznego w Kielcach, zdobył złoty medal w XII Konkursie Prac Młodych Naukowców (Amsterdam); w ogóle cała polska reprezentacja uplasowała się na pierwszym miejscu!

Do 31 października można nadsyłać prace na następną edycję konkursu – w którym mogą uczestniczyć uczniowie szkół średnich i studenci pierwszego roku. Szczegółowe informacje pod nr telefonu: /0-22/ 84-82-468.

jpp

NOWY OSCAR!

Od 2002 r. przyznawane będą Oscary dla długometrażowej animacji – jeśli w danym roku pojawi się minimum 8 takich filmów, o czasie trwania przynajmniej 70 minut każdy.

Poprzednią nową kategorią była charakteryzacja, wprowadzona w 1981 r. (gdyby pół wieku wcześniej – pierwszym nagrodzonym byłby niewątpliwie człowiek, który z Borisa Karloffa uczynił monstrum Frankensteina...).

jpp

STANISŁAW O STANISŁAWIE

W „Gazecie Świątecznej” z wrześniowo-październikowego weekendu przeczytać możemy esej Stanisława Barańczaka poświęcony „Szpitalowi Przemienienia” Stanisława Lema.

Jest to polskie tłumaczenie tekstu, który ukazał się w „The New Republic” (USA); nb. jako drugi z cyklu esejów o pisarzach Europy Środkowej.

Barańczak pisze w nim m.in.: „Lem należy do pisarzy, których bardziej interesuje niezmienna istota ludzkiej egzystencji niż powierzchowne zmiany dokonywane przez historię”.

jpp

NIUSY FILMOWE

• Clint Eastwood będzie reżyserem „Space cowboys”, filmu o podstarzałych kosmicznych asach, którzy niespodziewanie dostają do wykonania ważną misję. Eastwood zagra też główną rolę.

• Są już konkretne wieści o kolejnej ekranizacji „Spidermana”. Reżyserem będzie Sam Raimi, w tytułowej roli wystąpi Tobey Maguire („Miasteczko Pleasantville”, „Wbrew regułom”). Początek zdjęć zaplanowano na grudzień.

• Johnny Depp (m.in. „Edward Nożycoręki”) wystąpi jako Kuba Rozpruwacz w „wiktoriańskim thrillerze przestępczym” „From Hell”.

• W okolicach Radomia rozpoczęły się zdjęcia do „Przedwiośnia” wg powieści Stefana Żeromskiego. Film wyreżyseruje Filip Bajon. Znani są też odtwórcy głównych ról: Cezarego Barykę zagra Mateusz Damięcki, Hipolita – Maciej Stuhr, Karolinę – Urszula Grabowska, księżda – Piotr Gąssowski. Nareszcie jest kasa na polskie superprodukcje!...

• Niepokojące wieści dochodzą odnośnie przygotowań do ekranizacji „Krzyżaków”. Już od dawna wiadomo było, że pracą tą zajmuje się Jarosław Żamojda. Tymczasem niedawno niejaki Bogusław Linda ogłosił, że będzie reżyserował swoją wersję, według scenariusza Cezarego Harasimowicza. Zebrał już nawet część ekipy – autorem zdjęć miałby być Paweł Edelman, w roli Juranda wystąpić miał Krzysztof Majchrzak, a jako Maćko z Bogdańca – Daniel Olbrychski. Obie ekipy „zadeklarowały gotowość do współpracy” – miejmy nadzieję, że dojdą do porozumienia i skończą ten (wywołany przez Lindę) cyrk...

MISZ



SCIENCE

SANS

FICTION



ROBOTYKA:

SARA C. POTRZEBNA OD ZARAZ!

Niedawno pisałem o robocie napędzonym baterią na resztki organiczne.

Trwają też prace (zwieńczone pierwszymi sukcesami) nad: robotami, które potrafią same zaprojektować i skonstruować inne roboty (i te roboty, i ich prymitywne – na razie! – konstrukcje, już działają...); robotami, które umieją współpracować ze sobą i skolonizować określony teren (całkiem sprawnie udało się to im z ich macierzystym laboratorium...); robotami, które mogą – pilnując jakiegoś obszaru – strzelać do intruzów (także do ludzi!)

Jak się do tego wszystkiego mają trzy „prawa robotyki” Isaaka Asimova?

Jean-François
/wg: „GW”, 5.IX.2000 r./

ELEKTRONIKA:

OBYWATELU, POKAŻCIE CZIPSIK!

Masowe wszczepianie elektronicznych chipów, pozwalających na identyfikację zaginionych osób, zapowiada jeszcze w tym roku amerykańska firma z Florydy.

System *Digital Angel* może przydać się dla potrzeb armii oraz podczas odnajdywania zaginionych dzieci i osób porwanych.

Jednak jego powszechne (tzn. obowiązkowe!) stosowanie – pozwoliłoby władzom lokalizować każdego człowieka, w każdym miejscu, o każdej porze; ponadto niska częstotliwość, na jakiej działa bioprosesor, powoduje że człowiek staje się anteną: poprzez manewrowanie częstotliwością fal można regulować poziom adrenaliny w organizmie dowolnie wybranego delikwenta (rozświeczając go lub uspokajając).

Dobrze, że b. ZSRR przegrało z kretelem wyścig technologiczny, bo inaczej ochroniarze rosyjskich dygnitarzy nie potrzebowaliby nawet strzykawek...

Jean-François
/wg: „Życie” z 11.IX.2000 r./

ASTRONAUTYKA:**COŚ SIĘ KOŃCZY – COŚ SIĘ ZACZYNA?**

10 września rano prom kosmiczny „Atlantis” połączył się z Międzynarodową Stacją Kosmiczną „Alfa”.

Załoga promu – pięciu Amerykanów i dwóch Rosjan – rozpoczęła przygotowywanie stacji do przyjęcia pierwszej długotrwałej ekspedycji...

Zegnaj, „Mirze”?

Jean-François

/wg: „GW” z 12.IX.2000 r./

ENTOMOLOGIA:**NOWA INWAZJA?**

Nie rozprawiono się jeszcze z pszczołami-morderczyniami, a na Stany Zjednoczone przypuściły atak brazylijskie ogniste mrówki (*fire ants*).

Zarłoczne (skutecznie atakują nawet cielęta!), jadowite (ich ukąszenie porównać można z użądleniem osy!) i – co najgorsze, a jednocześnie niespotykane u innych owadów – „demokratyczne”: w mrowisku nie ma jednej królowej, lecz jest ich kilkanaście (nie można więc zniszczyć „bandy” zabijając „herszta”...), a poszczególne mrowiska (zamiast krwawo rywalizować między sobą...) solidarnie wspomagają się w podbojach!

Starzy zetempowcy, pamiętający amerykańską stonkę, mogą czuć się „pomszczeni”...

Jean-François

/wg: „Dziennik Pomorski” z 14.IX.2000 r./

ASTRONOMIA:**NOWE INFORMACJE...**

...o „naszej” czarnej dziurze zaprezentowało ostatnio pismo „Nature”.

Znajduje się ona niemal w centrum Drogi Mlecznej – i posiada masę równą w przybliżeniu masie 2,6 mln Słońc, skupioną w obszarze o rozmiarze 640 mln km (tzn. zmieściłaby się między Słońcem a Jowiszem).

Nie musimy się jednak jej obawiać: zanim wchłonie ona nasz Układ Słoneczny – zyciodajne jak na razie Słońce zamieni się w czerwonego olbrzyma i spuchnie do takich rozmiarów, że wewnątrz tego pieca znajdują się wszystkie planety skaliste, aż po Marsa włącznie!

I jak tu śnić o nieśmiertelności?..

Jean-François

/wg: „GW” z 22.IX.2000 r./

FIZYKA:**KROK DO RAJU?!**

Amerykańskim naukowcom udało się rozwiązać jeden z głównych problemów stojących na drodze do opanowania kontrolowanej syntezy termojądrowej!

Chodziło tu o przeszkodę czysto techniczną (przy dłużej trwającej reakcji plazma mogła zniszczyć ściankę tokamaka: okazuje się, że miejsce styku można skutecznie chłodzić deuterem). Jednak jest to ogromny krok w kierunku uzyskania przez ludzkość niewyczerpanych praktycznie zasobów bezpiecznej i czystej energii!

A co elektrownie termojądrowe oznaczałyby dla nas w praktyce – pisałem na tych łamach pod koniec 1991 roku, po sukcesie Brytyjczyków...

Jean-François

/wg: „GW” z 27.IX.2000 r./

**Co jest grane? (14)
Co jest grane? (14)**

(zapiski „staruchy” z sesji RPG słupskiego KS STRONG)

Marmurkowe, mleczne, landrynkowe, perlowe; w kolorach jak z tęczy; oznaczone cyframi lub kropkami na ściankach – siedem bryłek geometrycznych, doskonałych z matematycznego punktu widzenia estetyki. Przechowywane w firmowych plastikowych pojemnikach (kiepskie – łatwo pękają), pudełkach po cukierkach lub w specjalnie dla nich uszytych sakiewkach i etui. Nierzadko uzurpują sobie prawo do statusu fetyszów. Nowe błyszczą gładką powierzchnią i tną przestrzeń ostrymi krawędziami. Te kombatanckie mają matową fakturę, stępione kany, „ślepe” oczka i wytarte cyfry.

Ich klang, kiedy mieszają się w zamkniętych dłoniach a potem toczą po drewnianym blacie stołu czy dywanie, niejednego przyprawia o dreszcz emocji. Mieszaniu w dłoniach zwykle towarzyszą, przypominające tybetańską mantrę, szamańskie mamrotania i mina, której clou stanowią przymknięte powieki. A kiedy już zatrzymają swój wirujący taniec, wydając surowy wyrok bądź cesarską łaskę, komentowane są wojowniczym okrzykiem „Yes, yes, yes!” albo przeciwnie – przekleństwem niegodnym przeliterowania na papier. Czasem wynik rzutu wieńczy wybuch śmiechu pozostałych uczestników rytuału, czasem tylko okrutny, sardoniczny chichot mistrza.

Pomijając gry, w których używane są wyłącznie szóstki, największym pietyzmem otacza się dwudziestkę. To ona decyduje, czy właśnie się błaznisz, czy stajesz bohaterem. Osiemnastka, dziesiątka, ósemka, czwórka, dwunastka – również potrafią okazać się wspaniałomyślne lub wyjątkowo złośliwe. „Nie rusz, bo popsujesz!” – ostrzegają gracze kolegów sięgających po ich kości. W końcu, chcesz czy nie chcesz, kupujesz własny zestaw, piękniejszy niż pozostałych członków ekipy, choć niekoniecznie „szczęśliwy”.

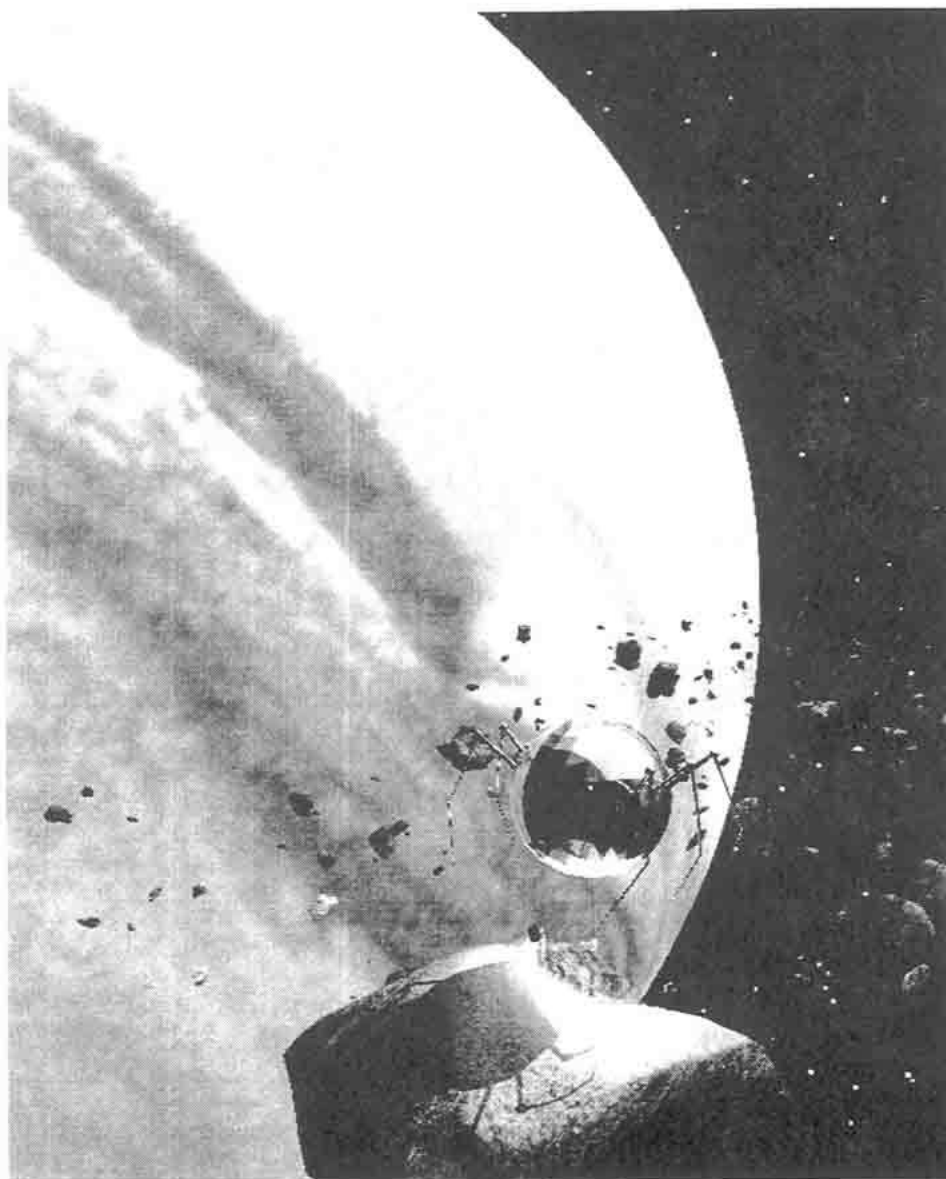
Nie cierpię etapów sesji, w których wiodącą rolę sprawują kostki (zdaje się, że już o tym pisałam..?). Nie są dla mnie fetyszem, nie mamrocę nad nimi abrakadabra, nie celebruję rzutów, nie opanowałam nawet zasad liczenia „bonusów” i „która do czego”. Tak naprawdę to tylko przy układaniu postaci wywołują u mnie coś w rodzaju pikania w piersiach. Może po prostu nie mam natury hazardzistki; może nie lubię, jak coś jest niezależne od moich intencji i woli? Mimo iż jestem posiadaczką aż dwu kompletów (oba są prezentami!), zapominam zabrać je ze sobą na piątkowe spotkania, żebrząc potem u kolegów pozwolenie skorzystania z ich kości. W tym miejscu najwłaściwiej byłoby napisać: „I co?! Mam takie same wyniki, jak pozostali gracze!” Niestety, z przykrością muszę stwierdzić, że tak nie jest... Czyżby te małe czorty czuły moją doń niechęć? Złośliwość przedmiotów martwych potrafi być doprawdy wku...rzająca. Ale się zapałam. Nie dam się. Nie pozwolę, żeby coś rządziło moimi emocjami. Nie jestem przesadna, zabobonna, nie dam się zwieść irracjonalnym przesłankom, niegodnym człowieka XX/XXI wieku.

(cdn.)

Ignis

P.S. Fakt, że o zabobonach pisałam dopiero w czternastym, a nie trzynastym, odcinku „Zapisków...” (w przedeuroconowskim Informatorze nie pojawiłam się) – o niczym nie świadczy... To czysty zbieg okoliczności, daję słowo!





Tekst poniższy wysłałem do redakcji „Kuriera Wejherowskiego”. Zdaję sobie sprawę, że jego związki z fantastyką są mniej niż nikłe. Jednak, z uwagi na Osobę głównego bohatera oraz na pyszność całej historii – pozwalam sobie zamieścić go również, na prawach felietonu, w „Informatorze GKF”.

/Red. Nacz./

Rondo Tischnera albo Poltelgeist na UG

Inicjatywa „Kuriera Wejherowskiego”, by nowe rondo (przy wyjeździe na Chwaszczyno i Oliwę) nosiło imię ks. prof. Józefa Tischnera, jest tak znakomita, że nie ma właściwie potrzeby jej uzasadniać! Można jedynie dodać, iż Ksiądz Profesor – gorąco kochający tatrzańskich górąli – wielką estymą darzył też Kaszubów (mawiał: *Kaszubi to górąle, którzy nie zdążyli na statek do Ameryki*).

O Księdzu Profesorze krążyły zresztą najróżniejsze anegdoty, równie zabawne co prawdziwe.

Chciałbym się podzielić z Czytelnikami moim własnym – jedynym, niestety! – spotkaniem z Józefem Tischnerem.

Po raz pierwszy usłyszałem o Nim od kolegi z liceum, który przeniósł się na studia do Krakowa i miał przyjemność słuchania Jego kazań w akademickim kościele Św. Anny.

Rok później, po Sierpniu, o tej Postaci było już głośno... Mówiono o tym, jak prowadził wykłady z filozofii na wydziale reżyserii krakowskiej Szkoły Teatralnej i, chociaż tam na roku studiuje zaledwie kilka osób, szybko musiano je przenieść na... scenę Teatru im. Słowackiego – takie waliły tłumy! Usłyszałem też o tym, jak kiedyś podczas kazania Ksiądz Profesor zacytował Hegla (podając źródło); tak oburzyło to uczestniczącego we mszy jego „kolegę po fachu”, że ten zwrócił Mu uwagę, iż jeśli w przyszłą niedzielę znów zacytowany zostanie ów filozof – on nie da ofiary na tacę. Za tydzień Tischner zacytował inny fragment z Hegla, jednak bez podawania źródła; za to na koniec ogłoszeń parafialnych dodał: *Jeszcze informacja dla jednego z uczestników dzisiejszej mszy. Słowa [takie a takie] były cytatem z [z takiego a takiego dzieła] Hegla. Ofiara do odebrania w zakrystii*.

Podobnych anegdot jest wiele; może ktoś je kiedyś opublikuje. Przechodzę teraz do historii, której sam byłem świadkiem.

W połowie moich polonistycznych studiów, niewiele po wprowadzeniu stanu wojennego, na Humance gruchnęła sensacyjna wiadomość: Józef Tischner przyjedzie na Uniwersytet Gdański, zaprosili go filozofowie, wygłosi otwarty wykład w auli!

Tak wielka Osobowość przyciąga tłumy zawsze – a coś dopiero wtedy... W oliwskiej auli zebrał się więc tłum – wykładowców, asystentów, studentów.

Odczyt Tischnera nosił tytuł „Irracjonalność w racjonalizmie”. Dotyczył on najnowszych tendencji w zachodniej filozofii (świeckiej, ale niemarksistowskiej – więc też niemile widzianej w PRLu: przecież „materializm dialektyczny” miał być ukoronowaniem myśli ludzkiej i ostatecznym wyjaśnieniem wszystkiego!). Skąd taki tytuł wykładu: chodziło o to, że prądy filozoficzne wówczas modne podważały kartezjańskie *Myślę, więc jestem* jako podstawowe narzędzie poznania – jednostka bowiem może dotrzeć jedynie do części prawdy (Tischner zobrazował to następująco: ktoś siedzi na wzgórzu i podziwia piękne miasteczko; jego kolega zaś – nadchodząc od strony doliny, z boku – widzi, iż to miasteczko jest podpartą drągami dekoracją filmową). Dodam, że Józef Tischner ani razu nie nawiązał w tym wykładzie do światopoglądu religijnego; był też ubrany „po cywilnemu” (czarna koszula, szara marynarka).

Ksiądz Profesor wykład wygłosił – prosto, zrozumiale, przepiękną polszczyzną, z mnóstwem anegdot (nawet przy historyjce o góralu, zomowcach, starym karabinie i okrzyku

Jezus, Maria! – śmiały się równo „opozycja” i „władza”). Po zakończeniu poprosił o pytania. Zadano ich kilka, Tischner odpowiadał... Aż nagle wstał niewysoki, siwy staruszek. Był to magister K.

Wyjaśniono mi później, że magister K. był na Uniwerku przedstawicielem absolutnego „betonu” partyjnego, o porównywalnej z tymże materiałem budowlanym lotności umysłu. Gdy partyjni pracownicy UG konali z nudów na przedłużających się obowiązkowych „nasiadówkach” POP, to podpuszczali K., by ten się wypowiedział – i mieli darmowy kabaret. Pewnie dlatego K. uchował się na uczelni z najniższym tytułem naukowym (podwójny wyczyn: ani nie zrobił doktoratu, ani go nie wyleli z roboty)!



Wstaje więc oto K. i mówi do Tischnera:
Panie Tischner! Ja wiem, że pan jesteś ksiądz, ale ja księży nie uznaję, więc mówię „Panie Tischner”!

Czytam tytuł pańskiego referatu – i co widzę: „Irracjonalność w racjonalizmie”! Panie Tischner! Ja jestem marksista. Ja wyznaję racjonalizm. I mogę panu powiedzieć, że tylko racjonalizm się liczy! A w racjonalizmie żadnego „irracjonalizmu” nie ma!!!

Panie Tischner! Ja nieraz w nocy byłem na cmentarzu – i nigdy żadnego ducha nie widziałem!

Cisza w całej auli. Przez sekundę. A potem jeden ogromny, dudniący ryk śmiechu (choć jednocześnie wszyscy mieliśmy ochotę uciec z sali: tak nam było wstyd przed krakowskim Gościem). Jediną osobą, oprócz K., która zachowała powagę – był ks. prof. Józef Tischner. Odczekał chwilę, po czym zaczął uspokajać salę (nawet Jemu nie przyszło to łatwo...). Gdy już ucichło – Tischner zwrócił się do K.:

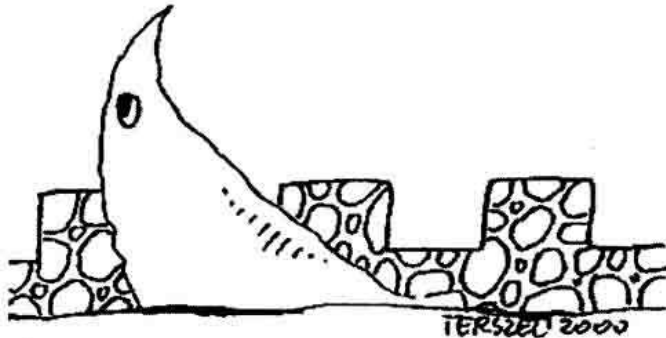
Prosiłem o pytania. Pan zaś złożył deklarację. A na deklarację nie mogę odpowiedzieć. Mogę się więc jedynie skłonić!..

Po czym w pas pokłonił się magistrowi K.

...Tak to wyglądało, naprawdę – całe zdarzenie pamiętam jak dziś! I zaiste warto je utrwalić...

Bardzo czekaliśmy (my, studenci) na kolejną wizytę Księdza Profesora. Niestety, nie doczekaliśmy się – nasi uczelniani filozofowie nie zaprosili już nigdy więcej Józefa Tischnera: podobno byli oburzeni, iż... o najnowszych, najbardziej skomplikowanych zagadnieniach współczesnej filozofii mówi On tak prosto, że każdy potrafi zrozumieć! Jak z tego wynika – monopolu na głupotę nie mieli bynajmniej ówczesni „aparaczczycy”...

Jan Plata-Przechlewski



Napisałem kiedyś, że są takie filmy, o których pisze się z przyjemnością, a długopis sam chodzi po kartce... Jeden z nich obejrzałem (z opóźnieniem) na początku maja, wtedy też napisałem tę recenzję. Przed wakacjami nie miałem na jej przepisanie czasu, po czterech miesiącach stwierdziłem jednak, że szkoda by było, żeby dobry – choć nieaktualny – tekst się zmarnował. Przed państwem zdobywca pięciu Oscarów: „American beauty”!

Aura sukcesu

„American beauty” prezentuje typową (zdaniem autorów) amerykańską rodzinę z przedmieścia niewielkiego miasta: dwoje rodziców i córka. Matka, Carolyn Burnham (Annette Bening), jest niezrealizowanym pośrednikiem sprzedaży nieruchomości, zazdroścącym świetnie prosperującemu znajomemu z sąsiedniej ulicy. Ojciec, Lester Burnham (Kevin Spacey), to pracownik gazety, któremu grozi zwolnienie (redukcja) z pracy. Oboje rodzice, po okresie prawdziwej miłości, poświęcili się karierze i ich uczucie gdzieś się ulotniło, rozplynęło. Ich małżeństwo uległo redukcji do czegoś, co trzeba pokazać na służbowym bankiecie. Również ich stosunki z córką nie układają się najlepiej. Lester co rano onanizuje się pod prysznicem („to najlepsza chwila mojego dnia – potem jest już coraz gorzej”), na dodatek podkochuje się w nastoletniej koleżance córki, imieniem Angela (Mena Suvari). Ta z kolei kreuje się na osobę „wyzwoloną” i uwodzi Lestera, gdyż bawi ją to.

Jane, córka Burnhamów (Thora Birch) to chyba jedyna normalna osoba w tym towarzystwie. Jej normalność odbiega jednak od powszechnego wyobrażenia normalności. Carolyn mówi: „Jeśli chcesz odnieść sukces, musisz roztaczać wokół siebie aurę sukcesu.” Cały ten świat jest fałszywy, wszyscy żyją na pokaz. Wszędzie dookoła widać owczy pęd do sukcesu. To wręcz konieczność dla całego społeczeństwa! A jeśli nie odniosło się prawdziwego sukcesu, to trzeba go przynajmniej udawać. Także życie rodzinne powinno z zewnątrz wyglądać na zgrane i przyjacielskie, choć w rzeczywistości w środku aż kipi od konfliktów. Podobnie jest z modą na inicjację seksualną – przechwalają się wszyscy, rzeczywistość jest nieco inna.

Tymczasem do domu obok wprowadzają się nowi sąsiedzi. Ojciec to stary żołnierz, militarysta, zwolennik rozwiązywania sporów (zwłaszcza z synem, Rickym) za pomocą siły; skurwiel, który wysłał piętnastoletniego syna do wojska, a gdy go wyrzucono (bez żalu ze strony zainteresowanego), wpakował go na dwa lata do psychiatryka. Ricky (Wes Bentley) utrzymuje się z handlu narkotykami – dzięki temu stać go na drogi sprzęt, który pozwala mu poświęcić się swojej pasji – filmowaniu świata. To druga „normalna”, choć w specyficzny sposób, osoba w filmie. Ricky jest prawdziwym esteta, podziwia Boga za piękno, które stworzył, kontempluje je. Potrafi zobaczyć piękno wszędzie – pokazuje Jane swój najpiękniejszy film: plastikową siatkę, która przez kilkanaście minut „tańczyła z nim” na wietrze. Między Jane a Rickim stopniowo budzi się uczucie; nie dane im jednak będzie w spokoju się nim cieszyć...

W filmie występuje kilkoro buntowników przeciw obowiązującym zasadom „normalności”. Jane i Ricky są buntownikami „na własny użytek”, nie afiszują się z tym. Przeciwnie czyni para homoseksualistów, którzy co rano uprawiają na ulicy jogging, otwarcie drażniąc ludzi, którzy też uważają się za normalnych. Prawdziwym

buntownikiem jest jednak Lester Burnham. W pewnym momencie rezygnuje z dotychczasowego życia i, łamiąc wszelkie schematy, którym hołdują wszyscy wokół, poświęca się realizacji swych marzeń. Rzuca pracę, kupuje sobie ukochanego Pontiac'a rocznik 1967, zaczyna palić trawkę i intensywnie wzmacnia mięśnie, chcąc się spodobać Angeli. Jego normalność to odrzucenie obowiązujących modeli szczęścia i wybór własnej drogi. I to właśnie daje mu szczęście w życiu; chociaż... ale tego już nie mogę powiedzieć, bo opowiedziałbym cały film.

Dawno już żaden film nie zrobił na mnie takiego wrażenia. Wszystkie Oscary są całkowicie zasłużone! Wstrząsające i przerażające... Debiutujący na dużym ekranie angielski reżyser teatralny Sam Mendes wykonał znakomitą robotę. Genialna jest gra Kevina Spacey'ego i Annette Bening, wspaniała Wesa Bentleya i Thory Birch. A ilustracja muzyczna – bez rozmachu, ale taka, że lepiej nie udałoby się zbudować nastroju.

Żeby nie kończyć zbyt optymistycznie – ostatnia konkluzja. Nas też czeka aura sukcesu, choć zapewne nie w takim stopniu i nie od razu – dopiero za kilkanaście lat, kiedy dorosnie i podstarzeje się pierwsze pokolenie wolnorynkowych materialistów...

Michał Szklarski

„American beauty”. Reżyseria: Sam Mendes. Scenariusz: Allan Balls. Obsada: Kevin Spacey, Annette Bening, Thora Birch, Wes Bentley, Mena Suvari. Zdjęcia: Conrad Hall.



Oj, nazbierało się ostatnio tych filmów... Jest już wrzesień, idzie jesień, więc po przerwie maturalno-egzaminacyjno-wakacyjnej, niniejszym przystępuję do odrabiania zaległości...

James Bond 2000

Szczerze mówiąc, nie wybrałbym się na „Mission: Impossible 2”, gdyby nie przypadek. Nudziłem się właśnie w Zakopanem i, w braku innych zajęć, poszedłem do kina „Sokół” na to, co akurat grali. Przyznaję się bez bicia, że pierwszej części nie widziałem – moja ocena dotyczy może zatem jedynie filmu jako takiego, nie zaś filmu jako kontynuacji. Nie wydaje mi się jednak, żeby fakt widzenia albo nie pierwszej części ważył jakoś na odbiorze „dwójki”. Nie ma tu bowiem prawie nawiązań do pierwszej części.

„Mi:2” to najnowsza wersja przygód agenta 007. Główny bohater, grany przez Toma Cruise'a, jest (jakżeby inaczej) superszpiegiem, a na dodatek także superkomandosem, wyczyniającym różne szalone rzeczy w celu (a jakże) ratowania świata – może nie przed zagładą (bo tu potrzeba by było facetów od odwiertów, a nie szpiegów), ale przed Bardzo Złą Korporacją, która w celu pomnażania dóbr doczesnych nie zawaha się przed wypuszczeniem śmiertelnie zakaźnego wirusa, aby sprzedawać na niego antidotum. Szpiegowi towarzyszy oczywiście kolejna piękność, tym razem w wydaniu złodziejki – w tej roli Thandie Newton (która jest jednym z najlepszych argumentów za obejrzeniem „Mi:2”, i wcale nie ze względu na grę, chociaż z tym radzi sobie niezle). To wszystko w pięknej scenerii Australii, doprawionej świetnymi zdjęciami i efektami specjalnymi, znakomitą, ostrą muzyką (m.in. Metallica, Limp Bizkit, Iron Maiden) – i mamy receptę na niezły film.

Film jest bowiem, mimo swej oczywistej schematyczności, bardzo dobry. Fabuła jest, w ramach schematu, inteligentna i dopracowana – ale największe wrażenie robi strona techniczna. Liczy się tutaj właśnie wrażenie – bo przecież pod względem treści obejrzenie dwudziestu paru „Bondów” przygotowało nas już na wszystko. Autorzy doskonale zdawali sobie sprawę, że ludziom nie będzie się chciało iść do kina tylko po to, żeby zobaczyć jeszcze jeden film szpiegowski – i dlatego do schematu dodali olśniewającą oprawę. Dzięki temu warto obejrzeć „Mission: impossible 2”. Choć bowiem pod względem intrygi i niepowtarzalnego humoru nie dorównuje on najlepszym osiągnięciom Alberta Broccoli, to w porównaniu z „Bondami” wyprodukowanymi przez jego córkę wypada znacznie lepiej. Zawiera też to, co odpowiada widzowi w roku 2000 – szybką akcję i świetne efekty. No i – robi wrażenie. Dla tego rodzaju filmu – to dobra rekomendacja.

Michał Szklarski

„Mission: impossible 2”. Reżyseria: John Woo. Scenariusz: Robert Towne, oparty na serialu wykreowanym przez Bruce'a Gellera. W rolach głównych: Tom Cruise, Dougray Scott, Thandie Newton, Richard Roxburgh, John Polson, Brendan Gleeson, Radé Sherbedgia, Ving Rhames. Muzyka: Hans Zimmer. Zdjęcia: Jeffrey L. Kimbal



Sztorm doskonały

„Gdzie tu fantastyka?“, ktoś zapyta – i będzie miał rację. „Gniew oceanu” nie ma z fantastyką nic wspólnego, pozwolę sobie jednak na tę recenzję ze względów, że tak powiem, hobb(i)s(t)ycznych. Zresztą nasz szef jest (baczność!) komandorem porucznikiem Marynarki Wojennej (spocznij!), więc temat marynistyczny będzie mi, jak sądzę, policzony... Mało się zresztą mówi o tym aspekcie fantastyki, nawet Mirosław Jabłoński w swojej Euroconowej prelekcji „Elementy marynistyczne w SF” mówił w rzeczowości o nautologii... Ale do rzeczy.

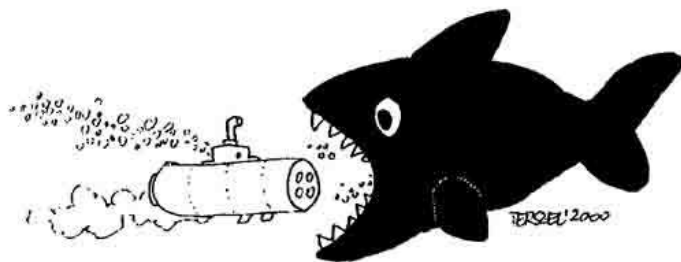
Reżyserem filmu jest Wolfgang Petersen, autor niezapomnianej „Niekończącej się opowieści”. Tym razem postanowił on przedstawić losy ludzi morza, konkretnie rybaków z małego amerykańskiego portu Gloucester – i zrobił to nieźle. Trzeba tu jednak przyznać, że z punktu widzenia przeciętnego widza „Gniew oceanu” jest filmem nie najlepszym. Pierwsza jego godzina to przydługa i pretekstowa „rozbiegówka”, służąca wyraźnie tylko temu, aby wystać w końcu bohaterów w morze. Na dodatek wyłania się z tego obrazu jakaś taka nienaturalna sielanka – może to tylko moje wrażenie, ale wydaje mi się ta część filmu lekko „przegloryfikowana”.

Potem bohaterowie wypływają w morze – i wszystko się zmienia. Widać, że o to naprawdę chodziło Petersonowi. Załoga jest po nieudanym sezonie i wybiera się na ostatnią wyprawę przed nadciągającymi jesiennymi sztormami. Na pobliskich łowiskach jak zwykle mają pecha, więc postanawiają popłynąć na pewny, lecz daleki akwen. Czy jednak zdołają wrócić? Między nimi a portem spotykają się bowiem gigantyczne fronty ciepłego i zimnego powietrza, wywołując „perfect storm” – co oznacza zarówno „idealny sztorm”, jak i „idealną burzę”. Tą drugą godzinę filmu – walkę zarówno załóg, jak i ratowników z żywiołem – naprawdę warto zobaczyć. Mam tylko jedno zastrzeżenie – bohaterzy nie używają żadnych zabezpieczeń, mimo że w każdej chwili mogą zostać zmyci z pokładu. Czy na statkach rybackich nie używa się pasów bezpieczeństwa? (Papier, znasz się na tym, więc wpisz odpowiedź w tym nawiasie!).

„Gniew oceanu” to film dość specyficzny. Z pewnością obejrzą go najchętniej sami zainteresowani – pływający w takich, czy innych celach po morzu. Ten obraz może być dla nich odniesieniem do ich własnych doświadczeń – ja sam nie będę się już chwalił „taakimi falami” w przebytych sztormach, powiem po prostu: „ee, taka tam siódemka...” Kiedy więc następnym razem za burzą będą się przewalały fale, przypomnijcie sobie „Gniew oceanu” i pomyślcie, że przecież mogło być znacznie gorzej... Prawda, panie komandorze?

Michał Szklarski

„The perfect storm”. Reżyseria: Wolfgang Petersen. Scenariusz: Bill Wittliff na podstawie książki Sebastiana Jungera. Obsada: George Clooney, Mark Wahlberg, Diane Lane, William Fichtner, Karen Allen, Bob Gunton, Mary Elizabeth Mastrantonio, John C. Reilly. Muzyka: James Horner. Zdjęcia: John Seale.



Gorzej niż u Oramusa

Animacja to dobre medium dla fantastyki – w wersji rysunkowej uchodzi nawet to, co wyśmialibyśmy w filmie fabularnym. Kreska rysownika sprawia na widzu wrażenie umowności, przez co w komiksie czy animacji możliwe są nawet zupełnie nieprawdopodobne sytuacje fabularne – i nikt nie będzie ich oceniał za stopień realizmu.

„Titan – Nowa Ziemia” jest jednak fantastycznym komiksem zachowującym duży stopień realności. Niezgodności z dzisiejszym stanem wiedzy fizycznej można zaś łatwo wytłumaczyć datą – akcja rozgrywa się na początku czwartego tysiąclecia, dzięki czemu możliwe są podróże międzygwiazdne itp. atrybuty space opery. Film zaczyna się w 3028 roku – pięcioletni Cale bawi się modelem statku kosmicznego. Sielanka zostaje jednak przerwana – do Ziemi zbliżają się statki kosmicznej rasy Drejów. Cale zostaje rozłączony z ojcem – oficerem pilotującym statek „Tytan”, ostatnią nadzieję ginącej ludzkości. „Tytanowi” udaje się uciec, a mały Cale obserwuje z orbity unicestwienie planety.

Piętnaście lat później niedobitki ludzkości tułają się po kosmosie, dobrze, jeśli ledwie tolerowane przez przedstawicieli innych cywilizacji. Cale pracuje gdzieś w międzyplanetarnej „dziurze”, na kosmicznym złomowisku. Tam odnajduje go Corso, przyjaciel jego zmarłego ojca. Okazuje się, że ojciec ukrył dobrze „Tyтана”, a w dłoni syna zakodował mapę prowadzącą do statku. O mapę tę, a zatem i o Cale’a, walczyć będą Drejowie i Ziemianie, a najpóźniej do walki tej włączy się sam Cale... Będzie przygoda, zdrada, poświęcenie, przyjaźń i tym podobne atrybuty opowieści dla dużych chłopców.

Nawiązałem w tytule do Oramusa, jako że skojarzenie z „Dniem drogi do Meorii” nasuwa mi się samo. W obu przypadkach z ludzkości pozostają nędzne resztki, wygnane ze swojej planety. Przy czym u Oramusa jest przynajmniej gdzie wracać, chociaż Ziemię trzeba zagospodarować niemal od zera. Optymistyczne zakończenie Oramusowej powieści jest także tylko z pozoru – tak naprawdę jest to uśmiech przez łzy czterestu miliardów zamordowanych ludzi. W filmie Dona Blutha i Gary’ego Goldmana nie ma już nawet gdzie wracać, a poziom techniczny Drejów nie pozwala z nimi walczyć. Nie bez powodu tytuł oryginału brzmi „Titan A.E.” – gdzie A.E. znaczy „After Earth” (Po Ziemi). Dlatego też nie podoba mi się jednoznaczny (naiwny?) optymizm zakończenia (którego nie zdradzę). W końcu Drejowie nadal istnieją, nadal są wrogami ludzkości i nadal mają broń pozwalającą niszczyć planety...

Ale to moje prywatne zastrzeżenie do tego, przeznaczonego przecież dla młodszych, filmu (co nie zmienia faktu, że starsza publiczność też nie będzie z pewnością żałować pieniędzy wydanych na bilet). Poza tym należą mu się niemal same superlatywy: „Titana” zrealizowano z prawdziwie kosmicznym rozmachem, fabuła jest naprawdę imponująca, a scenografia i muzyka także nie pozostają w tyle. Animacja (raczej klasyczna, nie Disneyowska) jest bardzo wysokiej próby, a efekty warte są wielokrotnego podziwiania. Znakomita jest też oprawa muzyczna w wykonaniu kilku mniej znanych zespołów rockowych. Mam jeszcze drobne zastrzeżenia do tłumaczenia, które jest bardzo dobre (o ile potrafię to ocenić nie znając oryginału, oczywiście – ale żadnych głupot nie zauważyłem), nie uwzględnia jednak angielskich podpisów, ukazujących się od czasu do czasu na ekranie. Ja oczywiście większość z nich rozumiem (a reszty mogę się domyślić, pamiętając wcześniejsze dialogi), ale dla części młodszych będzie to chińszczyzna, zresztą nie wszyscy przecież znają angielski. Podobnie skrót A.E. – żeby go zrozumieć, trzeba znać angielski system zapisu daty (BC – Before Christ = przed Chrystusem i AC – After Christ = po Chrystusie), a nie od wszystkich można oczekiwać tej wiedzy.

Ale to już uwaga nie odnosząca się bezpośrednio do filmu. Sumując wszystko – oglądać.

Michał Szklarski

„Titan A.E.” Reżyseria: Don Bluth i Gary Goldman. Scenariusz: Ben Edlung, John August, Joss Whedon. Scenografia: Philip A. Cruden. Reżyseria animacji: Len Simon. Efekty specjalne: David Dozoretz, Paul Martin Smith. Muzyka: Graeme Revell + grupy rockowe: Powerman 5000, Electrasy, Splashdown, The Urge, Texas, Lit.

Na ruinach upadłego folwarku...

Angielski pisarz George Orwell był postacią szczególnie zniechęconą przez propagandę ZSRR i państw satelickich.

Powodem tej nienawiści były dwie, najszlachetniejsze zresztą w jego karierze, powieści: *Rok 1984* i *Folwark zwierzęcy*. Dodatkowy powód był chyba ukryty, lecz boleśniejszy: Orwell nie był prawicowym „ekstremistą”, lecz człowiekiem lewicy, który naocznie przekonał się, że komunizm za fasadą szczytnie brzmiących kłamstw skrywa zbrodnie porównywalne z nazistowskimi – i nie miał zamiaru zachowywać tej wiedzy wyłącznie dla siebie. Podobnej konstatacji – iż bolszewizm nie jest żadnym rozwiązaniem autentycznych problemów społecznych – dokonał wcześniej Żeromski w swym reportażu *Na probostwie w Wyszkowie* (w PRL na ścisłym indeksie!). Jednak wielu powojennych intelektualistów zachodnich nie było na tyle odważnych, uczciwych lub mądrych (Sartre np. świadomie przemilczał istnienie GULagu i „pół śmierci”, by – jak to cynicznie stwierdził – „nie odbierać nadziei robotnikom z Lyonu”). Za swą odwagę i prawdomówność autor *Roku 1984* i *Folwarku zwierzęcego* był uważany również na Zachodzie (przez tych, których rezydenci KGB określali mianem „pożytecznych idiotów”) za „faszystę”, „podżegacza wojennego” itp...

W Polsce dwie wspomniane tu książki pojawiły się w oficjalnym wydaniu pod koniec minionej epoki, gdy tworzył się już klimat sprzyjający porozumieniom Okrągłego Stołu. Wprowadził z absurdalnymi przedmowami (że tak naprawdę są to alegorie... hitlerowskich Niemiec), ale bez cięć cenzury. Wzbudziły najpierw zainteresowanie (legenda, „owoc zakazany!”), a potem – zaskoczenie.

Okazały się bowiem prawdziwie wartościową literaturą, a nie tylko polityczną „agitką”. W *Roku 1984* uderzała konsekwencja w kreacji przedstawionego świata: obraz był na tyle przekonujący i spójny, że sugestywnie oddziaływał nawet na współczesnego polskiego czytelnika (żyjącego w „realnym socjalizmie”, znającego *Małą apokalipsę* Konwickiego oraz *Paradyż* i *Limes inferior* Zajdla). Ponadto wyraziste postacie głównych bohaterów i apokaliptyczna wizja „buta depczącego twarz człowieczą” czynią tę powieść uniwersalną i ponadczasową. *Folwark zwierzęcy* z kolei – okazał się lekturą lepszą, acz niekoniecznie przyjemniejszą. Na tyle powszechna była już wiedza o prawdziwej historii Związku Radzieckiego, że łatwo można było zorientować się, iż fabuła opowiadki parodiuje dzieje „pierwszego państwa robotników i chłopów” (np. konflikt Stalina z Trockim itd.).

Powieści Orwella trafiły oczywiście na ekrany. *Rok 1984* wszedł do kin w tytułowym roku, z doborową obsadą (John Hurt i Richard Burton!). Zrealizowany był bardzo starannie, z dużą wiernością wobec pierwowzoru – choć niestety nie oddał w pełni pesymizmu i artyzmu książki. *Folwark zwierzęcy* – z uwagi na specyfikę bohaterów opowieści – powstał najpierw w wersji animowanej.

Dopiero teraz, w dobie komputerowej obróbki obrazu i po pozytywnym doświadczeniu filmów o śwince Babe – doczekaliśmy się wersji „aktorskiej”. To plus. Minusem są dość swobodne przeróbki w fabule (zresztą rzadko wychodzi to na dobre ekranizacjom literackiej klasyki). Szkoda, że np.: realizatorzy nie pociągnęli dalej wątku kłaczy, która uwielbiała wstążki wplecione w grzywę – i uciekała do ludzi; brakuje sceny ostatniego legalnego odśpiewania hymnu zwierząt – w smutnej tonacji zawiedzionych nadziei; nie do końca zaakcentowano wątek owiec na wiecach – „cztery nogi... etc.”; róg i kopyta na fladze animalizmu powinny być chyba skrzyżowane – jak sierp i młot... Można ostatecznie zrozumieć chęć wpisania Orwellowskiej powiastki we współczesną perspektywę (nawet on nie przypuszczał zapewne, że rozpad ZSRR będzie aż tak – na nasze szczęście! – żalony); pysznym natomiast (bo bardzo filmowym!) pomysłem jest „zwierzęca” parodia starych sowieckich kronik propagandowych...

Ale wybrać się do kina warto!

PiP/Dżej

KONRAD T. LEWANDOWSKI

czyli

Przewodasowe przypadki (jedyna wersja autoryzowana)

Przewodas nadszedł późnym popołudniem od strony Nowego Świata. Pieszko, pełen ciekawości, miał szesnaście lat. Był koniec zimy lub wczesna wiosna. Powietrze chłodne, w Alejach Jeruzolimskich panował spory ruch. Przewodas minął firmową księgarnię wydawnictwa „Iskry” i zatrzymał przed drzwiami, nad którymi umieszczono wielki szyld z napisem „Groteka”. Odszukał wzrokiem tablicę z informacją o terminach spotkań klubu „SFAN”, upewnił że to właściwa pora, po czym wszedł do środka...

Wewnątrz powiedziałem pierwszemu napotkanemu człowiekowi, że jestem nowy i w efekcie zostałem zaproszony do stolika, przy którym siedział brodaty mężczyzna w grubych okularach. Był to Janusz Zajdel, a mój przewodnik, nazwiska nie pomnę, właśnie dostarczył do „SFANU” paczkę świeżo wydanej „Limes Inferior”. Był rok 1982. Oni zaczęli dyskutować o książce, a ja, ponieważ jej nie czytałem, siedziałem jak na tureckim kazaniu. Rozmówca Janusza spostrzegł to i podał mi jeden egzemplarz. Ponieważ nie miałem akurat potrzebnych 50 złotych, usłyszałem że mogę zapłacić za tydzień. Zaufanie okazane chłopakowi z ulicy, poznanemu zaledwie niecałą godzinę temu, wstrząsnęło mną dogłębnie. Zwrot długu w wyznaczonym terminie stał się dla mnie punktem honoru. Załatwiłem to, ale wtedy z wrażenia zupełnie nie przyszło mi do głowy skojarzyć dwu faktów: książki w ręku i autora naprzeciw. Nigdy zresztą nie byłem łowcą autografów. Szkoda. Miałbym ładną pamiątkę z mojego pierwszego dnia w Fandomie.

Wcześniej była szkolna biblioteka z długą półką z książkami S-F, które czytałem z fanatyczną wręcz fascynacją. Byłem gotów zabić za kolejny tom antologii „Kroki w nieznanie”, tropionej zajadłe w bibliotece publicznej koło domu. W „SFANIE” z wyiekami na twarzy słuchałem plotek o kolejnych częściach „Kroków”, które już podobno gdzieś się ukazały, albo miały ukazać. Nikt na dobrą sprawę nie wiedział ile jest tomów tej antologii, chyba sześć, ale proszę nie uświadamiać mnie w tym względzie teraz, na stare lata! To był amok. Gdybym miał wtedy dziewczynę – z całą pewnością zamieniłbym ją na mityczny, siódmy tom „Kroków w nieznanie”.

Urodziłem się jako mutant, na dodatek w prima aprilis 1966, i byłem przekarmionym niemowlęciem, co widać do tej pory. Mutantstwo moje polega na osobliwej „inności”, którą pierwsza dostrzegła wychowawczyni z przedszkola, wrzeszcząc histerycznie do mojej mamy: „Proszę pani! Ja od piętnastu lat pracuję z dziećmi, ja dwa fakultety zrobiłam, ale takiego dziecka to ja jeszcze nigdy nie widziałam!”. Poszło najpierw o kaszkę manną i jabłuszko ze skórką, czyli standardowy przedszkolny zestaw śniadaniowy. Dotąd zwykłem jadać jabłka obrane ze skórki, a ponadto starte na papkę i wymieszane z kaszką i cukrem. Jabłko osobno i kaszka osobno, były w moim przekonaniu ewidentnym brakoróbstwem. Ponieważ zaś moją prośbę o obranie i starcie jabłuszka załatwiono odmownie, sam zacząłem zeszkrobywać skórkę zębami i wypluwać na stół. Oczyszczone ze skóry fragmenty jabłka gryzłem, przeżuwałem i wypluwałem z kolei do kaszki. Wychowawczyni rozjuszona tym przejawem inicjatyw postawiła siłą nakarmić mnie kaszką bez jabłuszka. Na znak protestu zwymiotowałem do talerza. Inne dzieci na zasadzie reakcji łańcuchowej też zaczęły wymiotować i zrobił się taki mały przedszkolny Czarnobyl. Wychowawczyni straciła głowę. Potem schwytano mnie na próbie kradzieży wszystkich kredek świecowych, jakie były w przedszkolu. Zebrałem je z półek, załadowałem do fartuszka i zamaskowałem chusteczką do nosa. Chodziło o to, że kredka świecowa przypominała nabój karabinowy, podpatrzony na „Czterech pancernych”. Z serialu tego zrozumiłem, że amunicja to rzecz ważna i należy mieć jej dużo, więc zaopatrzyłem się w amunicję... Innym razem powiedziałem pani dyrektor, że mam w szafie dwa pioryny i jak im powiem to spalą panią dyrektor razem z przedszkolem. Przejornie przeniesiono mnie do

innego. Tam z kolei nakryto mnie na kopaniu dziecięcą łopatką wilczego dołka na trasie spacerów szczególnie nieulubianej wychowawczyni. W pierwszej klasie podstawówki skutecznie pogryzłem piątklasistę itd itd. Kiedyś powiedziano mi: „Ja jestem inny, ona jest inna, on jest inny, ale ty Konrad to już przesadzasz!” Szczęśliwie, moje córki nie mają problemów w przedszkolu. Gen się utaił.

Z powodu „inności”, całe lata ciągnano mnie po psychologach. Skończyło się to gdy jedna psycholożka powiedziała: „Proszę zostawić Konrada w spokoju. Myślę, że gdy dorosnie, to ja o nim usłyszę.” Niby ładnie powiedziała, tylko że to zdanie zapoczątkowało lata emocjonalnego dystansu pomiędzy mną a moimi Starymi, tzw. „klasą robotniczą” po zawodowce (ojciec) i liceum (matka). To, że ojciec jest ze mnie dumny, dowiedziałem się dopiero z drugiej ręki w wieku lat 25. Do dziś nie cierpię psychologów, mam ich za bandę pajaców i szarlatanów, na pewno darmozjadów.

Oprócz problemów z indywidualizmem i nadwagą przyplątała mi się jeszcze astma. Dla grubego, dyszącego po przebiegnięciu kilkunastu metrów odmienca, system peerelewskiego wychowania nie przewidywał niszy ekologicznej. Zaczęłem odnajdywać się najpierw w chemii i biologii (domowe laboratorium, pocięte żaby i olimpiady przedmiotowe), potem w czytaniu S-F. W szkole średniej doszły do tego jeszcze elektronika, kulturyztyka, jiu-jitsu i filozofia (też olimpiada). Po latach, kiedy zdjęcia z mojego „pokazu” kulturyztycznego, na którym szpanowałem z kurczowo zaciśniętymi zębami, zobaczyła Ewka Białolecka, mało nie padła ze śmiechu: „Przewodasie, wyglądasz jakby zaciął ci się zawór pary!”

Zaczęłem pisać na Polibudzie, na którą przyjęli mnie bez egzaminu jako laureata olimpiady z chemii. Wciąż się sprawdzałem - w sporcie i odporności ból (przechodziłem półnago, spacerkiem, przez szpaler kumpli siekących mnie pasami od kimon), w budowie elektronicznych gadżetów, w seksie, pirotechnice, samodzielnym zarabianiu kasy, fantastyce, ZSMP... I ciągle coś było nie tak. Strasznie długo trwało zanim zdołałem przekonać siebie, że jednak jestem Kimś i przestałem przejmować legionami durni, z powagą tłumaczącymi mi, że jestem nikim.

Nie, moje szczenięce lata nie były martyrologią. Nie brakowało mi przyjaciół ani później dziewczyn, choć może nie miałem ich, zwłaszcza dziewczyn, przesadnie wiele. Wrażliwość w jakiś dziwny sposób łączyła się u mnie z gruboskórnnością nosorożca - to był mój „hak” na panny. Natomiast zawsze źle i bardzo źle funkcjonowałem w grupie, każdej grupie, choć i z tym próbowałem coś zrobić w 1985 zapisując się ze wskazań filozoficznych do ZSMP. Wystąpiłem w 1988 i obie strony odetchnęły z ulgą. Przyznam się, że raz skorzystałem z czerwonych układów i aby pójść z dziewczyną do teatru na „Mistrza i Małgorzatę” (bilety wyprzedane na pół roku naprzód), wykonałem telefon do Komitetu...

Najtrwalsze męskie przyjaźnie nawiązałem w „SFANIE”, choć od razu zaznaczę, że nie był to nikt z „Trustu” ani „Klubu Tfurców”. Skoro o „Truście” mowa - siedzieli zwykle w najdalszym kącie grotkowej sali, z fajkami w zębach, emanując poczuciem Wielkości i Wtajemniczenia. Nie sposób było się do nich dosięść, zresztą nie czułem takiej potrzeby. Dodatkowo, jako astmatyka odrzucał mnie fajczany dym. To byli „jacyś inni”, ciało obce w gromadzie ludzi, którzy przychodzili pogadać o tym co przeczytali i co warto przeczytać. Przez pięć lat „sfanowania” nie powstało mi w głowie, że mógłbym mieć z nimi cokolwiek wspólnego. I odwrotnie, Rafał Ziemkiewicz zarejestrował moje istnienie dopiero w drugiej połowie lat 80., zaczął wtedy pisać o „Przewodasach, które zalały Sfan”. Ziroytowałem go twierdząc, że jego opowiadanie „Władca szcurów” nie nadaje się do druku, bo końcówka jest zrynem z zakończenia „Komu bije dzwon” Hemingwaya. Poza fantastyką i literaturą młodzieżową czytałem jeszcze książki Grzesiuka, Bunscha (fantasy?), Wańkowicza, Greena, Cortazara i lektury szkolne - z wyjątkiem „Kolumbów...” Bratnego, którymi pieprzałem o podłogę po 18 stronie.

... czym (i kogo) pieprznał jeszcze Przewodas - o tym w następnym numerze „Informatora”

Dziewczynka Do Bicia?



Sądę, że należy się kilka słów wyjaśnienia, nawet - a może zwłaszcza - osobom obecnym na zakończeniu Euroconu. Z owym zakończeniem konwentu było tak:

Nie ja byłem tłumaczem, któremu przydzielono obsługę tej imprezy (a podobno taka osoba była). Na sali znalazłem się jako zwykły widz, w związku z czym nie byłem poinformowana o harmonogramie uroczystości. Faktycznie, na podium pojawiłem się spóźniona i nie miałam pojęcia o programie imprezy - ale tego rodzaju zarzuty można by stawiać osobie, której uprzednio to tłumaczenie powierzono. Ja zostałam przypadkowo wyrwana z tłumu, nie można więc mówić o jakimkolwiek zaniedbaniu z mojej strony. Obsługa tej imprezy nie leżała w zakresie moich obowiązków. Zgodziłam się zająć miejsce na podium, ponieważ publiczność domagała się tłumacza, a Grzegorz Szczepaniak z GKF poprosił mnie o interwencyjną pomoc. Żaden inny tłumacz konwentowy obecny na sali do tego się nie poczuł. Takim sposobem zostałam wmanewrowana w owo tłumaczenie.

Tyle na temat mojego nieprzygotowania.

W warunkach, jakie panowały na sali (brak kabiny tłumacza) możliwy był jedynie przekład konsekwentny. Niestety, przemawiający uczestnicy tudzież sam prowadzący zakończenie (przypominam, że był nim Papier) początkowo w ogóle nie uważali za stosowne zostawiać pauz dla tłumacza - co praktycznie zupełnie uniemożliwia wiernie tłumaczenie. Co do moich kompetencji językowych, poza jednym urwanym zdaniem i jednym przejęzyczeniem (pomyłka w liczbie lat) nie przypominam sobie żadnych błędów nie mieszczących się w standardzie tego typu pracy.

NIE MOJĄ WINĄ były wszelkie przestoje, pauzy i pozostały bałagan podczas zakończenia. Nie byłam odpowiedzialna za organizację Euroconu, tylko za wyznaczone mi tłumaczenia. Ja robiłam co mogłam i jak mogłam najlepiej, i o ile się orientuję, robiłam to dobrze. Tymczasem teraz spotykam się z zarzutami w stosunku do mojej osoby, które powinny być skierowane pod innym adresem.

Reakcje pewnych obecnych na sali ludzi, w myśl zasady, że tłumacz to Dziewczynka Do Bicia, były chamskie, i jeżeli nawet należało się do owych wielce dowcipnych, to naprawdę nie ma się czym chwalić.

Uważam sprawę za wyjaśnioną i proszę, odczepcie się ludzie ode mnie -

- z poważaniem, Tłumaczka

GDAŃSKI KLUB FANTASTYKI

INFORMATOR
138

ADRES GKF : Gdańsk-Przymorze, ul. Opolska 2

ADRES KORESPONDENCYJNY : skr. poczt. 76, 80-325 Gdańsk 37

E-MAIL: gkf @ gkf.3miasto.pl

STRONA: www.gkf.3miasto.pl

REDAKCJA : Jan Plata-Przechlewski (red. nac.), Grzegorz Szczepaniak

Michał Szklarski, Tytus Mikołajczak (Internet), Krzysztof Papierkowski

GRAFIKI : Piotr Storoniak (21), Piotr Terszcl (1, 3, 4, 6, 9, 10, 12, 15, 18, 19, 24), Sławomir Wojtowicz (13, 17)

KONTO BANKOWE GKF: PKO BP I O/GDYŃIA nr 10201853-237451-270-1

Nakład 500

WYDAWNICTWO BEZPŁATNE

Teksty drukowane w „Informatorze” odzwierciedlają przekonania Autorów i nie zawsze pokrywają się z poglądami redakcji